

**Renata Suchodolska**

CHOINKA

Mama powiedziała, że w Wigilię rano pojedziemy do lasu po choinkę. Jeśli tata nie wróci pijany oczywiście. Przypominała mu o tym od tygodnia, aż się zdenerwował. *Przestań mi suszyć głowę, kobieto*, powiedział. *Mówisz jakbym kiedykolwiek się upił w Wigilię*. Chciałem powiedzieć, że przecież w zeszłym roku się upił, z panem Bronkiem, tym, który kuśtyka, bo ma jedną nogę drewnianą, ale powstrzymałem się, bo przypominałem sobie, że tata nie lubi, kiedy się mówi o jego piciu. Panu Bronkowi nogę obcięto podczas żniw kilka lat temu. Mówi, że zastąpił z wysiłku. Odpoczywał leżąc między skibami, a wtedy kombajn na niego najechał. Traktorzysta go nie widział, bo był cały umorusany od ziemi. Pan Bronek był umorusany, nie traktorzysta. Mama zawsze śmieje się pod nosem, kiedy pan Bronek to opowiada. *Zaszkodziło, a nie nauczyło*, mówi. Nie wiem co to ma znaczyć.

Tata musi być trzeźwy, żeby pojechać, bo nasz samochód często się psuje i wtedy trzeba wymieniać świece albo dolewać wody do chłodnicy. Mama tego nie umie robić. Ma za to prawo jazdy. Tata nie ma, chociaż potrafi jeździć. Ma tylko na motor, lecz motorem nie możemy się zabrać we czwórkę.

A czasami jeszcze pies. Mama kieruje, nawet jeśli nie za bardzo jej to wychodzi. Często gaśnie jej na skrzyżowaniu. Robi się wtedy nerwowa, szarpie sprzęgłem, aż tata musi krzyknąć, żeby nie urwała. Inni kierowcy trąbią, tata macha do nich, że jeszcze tylko chwilę, oni się niecierpliwiają, omijają nas wjeżdżając na drugi pas pod prąd i wtedy trąbią kierowcy z naprzeciwka, otwierają okna i krzyczą brzydkie wyrazy. Tata w końcu nie wytrzymuje, każe mamie wysiadać, siada na miejscu kierowcy i w sekundę odpala. Zjeżdża na chodnik, każe mamie wracać na miejsce, mamie się trzęsą ręce, mówi, że ma dosyć tego samochodu i jeżdżenia po ulicach pełnych chamskiego nasienia, że zdrowiej chodzić piechotą i że to ostatni raz. Tata mówi, żeby nie pierdoliła i jechała, bo jeszcze chwila to nie wytrzyma i jak później ten samochód i ją razem z samochodem, to dopiero zobaczy.

Raz mamie zgasł samochód na przejeździe kolejowym. Wtedy tata w ogóle nie krzychał, tylko zbladł i trzęsącymi się ustami powtarzał bezgłośnie *sprzęgło kobieto, sprzęgło wciśnij* i rozglądał się na boki, żeby zobaczyć, czy pociąg czasami nie jedzie, ale mamie latały nogi z nerwów i nie mogła tego sprzęgła wcisnąć. To był przejazd nie strzeżony. Ten sam, na którym dwa tygodnie wcześniej zginęła córka mamy koleżanki. Zgasł jej samochód, duży fiat, to nawet lepszy, niż nasz maluch, próbowała odpalić, w międzyczasie najechał pociąg, ona ciągle próbowała odpalić, a kiedy zorientowała się, że nie da rady, chciała wysiąść, ale pociąg był już blisko i ją przejechał. To był ekspres. Ludzie mówili, że części samochodu poleciały w powietrze i pospadały w ogródku u proboszcza. To będzie jakieś sto metrów. Każdy się dziwił, że nie wysiadła wcześniej, ale jej ojciec oszczędzał na tego fiata przez pięć lat i dał jej tylko pod warunkiem, że będzie jechać ostrożnie i że go nie zadraśnie.

Nie wiem, czy ona też wpadła proboszczowi do ogródka. Tata mówi, że bym się nie interesował, bo to temat nie dla dzieci. Ale słyszałem jak opowiadał panu Bronkowi, że łopatką ją zbierali, potem składali w całość jak puzzle, żeby zobaczyć, czy jakiejś części ciała nie brakuje.

Nie chciałbym tak umrzeć, bo potem musiałbym całą wieczność chodzić taki pokawałkowany. Ksiądz na katechezie mówił, że musimy dbać o nasze ciała, bo zmartwychwstaniemy z takimi samymi ciałami jakie mieliśmy na ziemi. Jak ktoś kuleje na ziemi, to będzie też kulał w niebie, jak ktoś sobie

poderżnie żyły, to będzie miał szramy, które się nigdy nie zagoją. Zresztą taki to w ogóle do nieba nie pójdzie, bo wszyscy samobójcy idą prosto do piekła. *Ze specjalną ekspresową przepustką*, zaśmiał się ksiądz. My też się śmialiśmy, choć nikt nie rozumiał o jaką przepustkę chodzi. Spytałem więc - ja zawsze o wszystko pytam - czy, jeśli samobójcy mają specjalne przepustki to zwykli grzesznicy otrzymują zwykłe przepustki i kto je wydaje, czy może anioł stróż w momencie śmierci albo proboszcz wkłada do trumny przy pogrzebie, ale ksiądz zamiast mi odpowiedzieć zdenerwował się i kazał mi klęczeć przez całą religię w kącie.

Mój kolega, Wojtek, powiedział, że to bzdury i że po śmierci nic nie ma, ani nieba, ani piekła tylko koniec, kaput, do piachu na wyzerkę dla robaków, ale on nie chodzi do kościoła, jego tata jest milicjantem i nie może, a zresztą Wojtek mówi, że jest ateistą. To wtedy, kiedy ktoś myśli, że Boga nie ma i świat sam się stworzył.

Jest dziesiąta w Wigilię rano. Tata wyszedł do pracy na szóstą, ale właśnie wrócił. Zamienił się z jakimś kolegą, żebyśmy mogli pojechać po tę choinkę. Mówi, że wypił tylko po maluchu i chyba to prawda, bo wcale się nie tacza. Resztę wódki zostawił koledze za to, że się zamienił. Mama robi minę, jakby się gniewała, ale widać, że jest zadowolona. Jeden kieliszek przecież się nie liczy, szybko wywietrzeje.

Mama krzyczy z zaparowanej kuchni, żeby tata zszedł do piwnicy po siekierkę, a my mamy się ubierać. Jeszcze tylko wyleje galaretkę na karpia i możemy jechać. Tata wychodząc mówi, że doleje do baku paliwa z kanistra. Skombinował trochę od kierowcy z zakładu. Za domową kiełbasę, którą dostaliśmy od wujka ze wsi. Udaje nam się z bratem uszczknąć kawałek ryby po grecku. Uchylamy się w sam czas, żeby nie oberwać ścierką po głowie od ześlonej mamy. *Sio pętaki! Dziur mi narobiliście. Jeszcze raz, to nie pojedziemy po żadną choinkę. Już nie będziemy, już nie będziemy*, zaczynamy skamleć, aż Reks się przyłącza. Teraz mama jest naprawdę wkurzona. Grozi, że wywali w końcu to bydlę na ulicę, bo już ma dość odejmowania sobie od ust, żeby karmić bezużytecznego nieroba. Zabieramy szybko Reksa z kuchni i zamykamy za sobą drzwi. Wciągamy nasze czerwone Relaksy - ja mam nowe, mój brat nosi moje z zeszłego roku - łapiemy za kurtki, zakładamy Reksowi smycz i wybiegamy przed blok.

Jest kilku naszych kolegów. Zbudowali igloo. Ściany są ze śniegu, a dach zrobili z worka po ziemniakach. Kiedy nas widzą, pytają, czy nie pobawimy się w Eskimosów. Moglibyśmy przyczepić Reksa do sanek i udawać polowanie na foki albo wyprawę Amundsena na biegun. Odpowiadam im, że Amundsen zdobył biegun południowy, a nie północny i że na Antarktydzie nie ma Eskimosów, a tym bardziej igloo, a zresztą nie możemy, bo jedziemy do lasu po choinkę. Prychają i mówią, że co to za różnica. Mówię, że duża różnica i że są ignorantami. Na to Krzysiek, ten, który miał obniżone sprawowanie za bójki, doskakuje do mnie i mówi z dłońmi zwiniętymi w pięści: *Powtórz, powtórz, ty, Szymcio de Boj, a zobaczymy kto ma rację*. Mój brat, który jest młodszy ode mnie o rok, ale bije się o wiele lepiej, jest najlepszy w klasie, a w całej szkole mało który mu podskoczy, staje przede mną, nos w nos z Krzyśkiem i przez zaciśnięte zęby cedzi: *Spróbuj go dotknąć, spróbuj go tylko dotknąć...* Reks warczy i się wrywa. *Dobra, dobra*, mówi Krzysiek, *tylko niech się tak nie mądrzy*. W tym momencie z klatki wychodzi mama w swoim czarnym sztucznym futrze i musimy iść. Biegniemy do niej, a kiedy się zrównujemy pyta czy się pobawiliśmy. *Tak, w Eskimosów*, odpowiada mój brat i patrzy na mnie groźnie za plecami mamy, żebyśmy się czasami nie wygadał.

W szkole przezywają mnie Szymcio de Boj, bo jako jedyny znam angielski. Sam się nauczyłem. Z kaset, które nasza ciocia przywiozła z wycieczki do Londynu. Ciocia jest śpiewaczką operową, mówi, że ma głos jak aksamit, ale mi się nie podoba jak śpiewa. Za bardzo świdruje w uszach. Ja zostanę dziennikarzem. Aj tył bi a dziurnalist! Pojadę do Londynu napisać reportaż i tam zostanę. Tak jak brat

naszej sąsiadki. Wysłali go do Grecji, żeby napisał reportaż o starożytnych olimpiadach, a on zwiął do Niemiec i już nie wrócił. Potem przez długi czas do domu sąsiadki przychodziła Milicja.

Ciocia mówiła, że Londyn to coś niesamowitego. Mieszkają tam prawdziwi król i królowa i jeżdżą powozem. Ich gwardie przyboczne jeżdżą konno i mają czapki wysokie na metr. Ciocia mówiła, że w Londynie są sklepy ogromne jak bloki, z wielkimi kolorowymi neonami, które nie gasną nawet w nocy. Widocznie w Londynie nigdy nie brakuje prądu. Muszę o to zapytać ciocię, jak przyjedzie następnym razem. Te sklepy są pełne przeróżnych towarów. Jak ktoś chce to może sobie kupić w każdej chwili rower albo tyżwy, a chleba w piekarniach jest tak dużo, że wieczorami wyrzucają to co zostało do śmietnika. Najlepsze, że tam w ogóle nie ma kolejek. Ani za jedzeniem, ani za niczym. Ciocia mówiła, że w Londynie można kupić frykasy z każdego zakątka świata i że są nawet seks-szopy i że ona kupiła sobie wibrator i że to naprawdę wyśmienita zabawa. Chciałem zapytać, co to jest wibrator, ale mama właśnie w tym momencie kazała mi pójść do kiosku po papierosy, bo się skończyły. Zaprotestowałem, że wcale się nie skończyły, widziałem jeszcze paczkę w szufladzie, a do tego przecież ciocia przywiozła, ale mama powiedziała, że mam nie dyskutować i śmigać.

Jak pojedę do Londynu to pójdę do seks-szopy i kupię sobie ten wibrator. Mamie na złość.

Mama mówi, że najważniejsze, żebyśmy się z bratem dobrze uczyli. Jak się będziemy dobrze uczyć, to będziemy mogli w życiu robić co chcemy i mieć co dusza zapagnie. To nieprawda, bo ja jestem najlepszy w klasie, a mama i tak nie pozwala mi oglądać filmów dla dorosłych, a do szkoły szykuje mi chleb z twarogiem. U nas w klasie jest taka gruba Kaśka, która wcale się dobrze nie uczy, a do szkoły przynosi zagraniczną szynkę w puszcze i zjada ją podczas lekcji po kryjomu pod ławką. Taki się wtedy zapach po klasie roznosi, że wytrzymać nie można, ale ta Kaśka jest chytra i nikomu nie da posmakować, tylko swojej najlepszej przyjaciółce i tylko jeden kawałek. Ona ma ojca, który raz w miesiącu jeździ do Rzymu w interesach i przywozi jej tę szynkę. Mama mówi, że jak byśmy mieli w rodzinie kardynała, to też byśmy się opychali szynkami i czekoladami.

Zastanawiam się, czy zamiast dziennikarzem nie lepiej zostać kardynałem.

Tata wyprowadził malucha z garażu. Zostawił go na chodzie, żeby się rozgrzał. Tata mówi, że to ważne, żeby niejechać na zimnym silniku, bo można zatrzeć i wtedy klops.

Wsiadamy. Reks pojedzie na tylnym siedzeniu ze mną i z moim bratem. Jest taki podekscytowany, że ledwie mama uchyla drzwi wskakuje do środka i zaczyna szczekać. Mama krzyczy na niego, żeby siedział cicho, bo go zaraz wypieprzy, ale on macha ogonem, wywala jęzor i dyszy. Jest szczęśliwy. My też. Dzień jest piękny. Śnieg się skrzy w słońcu, jakby ktoś powsadzał w niego miliony maluszków diamentów. Mroźne powietrze kłuje w płuca. Za kilka godzin ubierzemy choinkę, mama wyśle nas na dwór na poszukiwanie pierwszej gwiazdy, a kiedy wrócimy pod drzewkiem będą już czekać prezenty. Mama zapyta, czy nie spotkaliśmy Gwiazdora po drodze, robi zdziwioną minę, że nie, bo właśnie tu był i zostawił podarunki. Będziemy udawać, że jej wierzymy, chociaż już dawno jesteśmy za duzi na takie bajki. Potem na białym, sztywnym od krochmalu obrusie postawimy świąteczną zastawę, jedno nakrycie więcej, dla przygodnego gościa, dwanaście potraw, świecę, a koło niej opłatek. Jeśli nie będzie dwunastu potraw, to dostawimy jakieś owoce albo dżem w słoiczku i już. Pytałem księdza, powiedział, że się liczy. Przed rozpoczęciem mama się przeżegna i drżącym, nie swoim głosem odmówi błogosławieństwo. Powinien to robić tata, ale on nigdy nie chce.

Na drodze jest lód, jedziemy bardzo powoli. Tata decyduje, że pojedziemy w stronę jeziora Osowskiego, bo zna tam leśniczego, więc w razie kontroli się dogada. *Już ja znam to twoje dogadywanie się!*, mówi mama. *O co ci chodzi?*, pyta tata niewinnie. Mama zaciska zęby. Widać, że nie chce się dzisiaj kłócić.

Wjeżdżamy w las. Po obu stronach drogi choiny wypinają się w niebo, na ich gałęziach poduchy śniegu. Jest cicho i nieruchomo. *Może tutaj?*, mówi mama. *Nie, nie, jedź dalej. Tam dalej jest szkółka. Ze szkółki weźmiemy*, odpowiada tata.

W ogrodzeniu za barakami jest dziura. Przeciskamy się jedno po drugim. Pierwszy Reks oczywiście! Z tej strony choinki są małe. *Ee, takie kurduple* - kręci nosem tata. *Tam są ładniejsze.* Rzeczywiście, z drugiej strony szkółki rosną większe drzewka. Niektóre mają takie gęste gałęzie, że trudno będzie nanizac bombki. Tata wybiera najokazalszą, ale mama mówi, że za duża, że nie mamy tylu bombek. Rozgląda się i wskazuje na choinkę niewiele większą ode mnie. *Ta jest w sam raz. I gwiazda na czubku się zmieści...* Nie podoba mi się. Taty była ładniejsza. *No już, tnij*, mama pogania tatę. *Bo jeszcze kto przyjdzie.* Tata strzepuje z choinki śnieg, ubija go kozakami, klęka i zaczyna uderzać siekierką w pień, tuż przy ziemi. Czasami nie trafia i wtedy spod siekierki strzelają bryły zmarzniętej ziemi. Trafiają w mojego brata. Rozśmiesza nas to.

Reks zaczyna szczekać, gdy tata ostatnim ciosem powala drzewko.

Ktoś nadchodzi od strony baraków. Mama wystraszona patrzy na tatę: *Co teraz?* Tata zgrywa hojraka, ale widać, że się denerwuje. *Załatwi się*, - mówi mrużąc oczy. *Wy dwaj ani mru mru.* To do mnie i mojego brata. *I psa trzymcie, niech nie szczeka.* Łapiemy Reksa. Tarmosimy go za uszami, żeby się uspokoił. Teraz widać już wyraźnie, że nadchodząca postać to mężczyzna. Ma na sobie grubą zieloną kufajkę, taką jaką noszą pracownicy leśni. Na nogach walonki. Stąpa ciężko. Śnieg skrzypi pod każdym jego krokiem. Podchodzi ze spuszczoną głową, jakby chciał nas wziąć na rogi. *Dobry*, - mruczy. *Co to?* - pyta się, jakby nie rozumiał co tu robimy. *Choinki chcieli? Trzeba było poprosić, by się dało, a nie jak złodzieje.* *E, zaraz złodzieje*, - odzywa się tata. *Nie wiedziałim, że ktoś jest. Ale teraz jak jest, to się inaczej ugadamy*, - i wyciąga z kieszeni paczkę papierosów. *Pali?* *Ano*, - potwierdza nieznajomy. *Bez filtra?* - upewnia się. *Pewno. Z filtrem to dla babek dobre*, - śmieje się tata. Odpala papierosy zapalniczką, którą dostał od cioci. Najpierw nieznajomemu, potem sobie. Zaciągają się. Odsuwam się, bo chmura dymu zapiera mi dech. *A białka?* - pyta nieznajomy. *Nie, dziękuję, ja nie palę*, - mówi mama uśmiechając się uprzejmie. Palą w milczeniu. Wreszcie odzywa się tata: *Ciężkie czasy.* *Ano*, - zgadza się nieznajomy. *Trzeba sobie jakoś radzić*, - ciągnie tata. *Ano trzeba. Jeden coś załatwi, da drugiemu, to tamten da, co ma. Wymiana*, - kiwa głową mężczyzna. *Właśnie*, - podchwytuje tata. - *Wymiana. Czasami człowiek coś by chciał, co nie ma, a ten drugi może ma. Ano jo. Ja, na ten przykład, choinkę bym chciał. Dla dzieciaków. Takie mam proste marzenie. Wie pan, jaka to radość dla nich. No wiem. Ma pan dzieci? No mam. Duże? No duże. Za mąż wyszły. To gratulacje*, - tata ściska nieznajomemu rękę, jakby rzeczywiście się cieszył z tych zaślubin. *E tam...* - zbywa nieznajomy, ale widać, że jest dumny. *Dawno to się pożeniły?* - pyta tata. *Chłopak trzy lata będzie. Dziewczyna w zeszłym roku. To pewno wnuki pan ma? Urodzi się dopiero. Po Nowym Roku się urodzi. Noo, taka okazja? Takie wydarzenie opić by trzeba*, - tata klepie nieznajomego po ramieniu. *Nie ma czym*, - nieznajomy rozkłada ręce. *Ja wódkę mam. W samochodzie. Chwila, to przyniosę*, - rozpromienia się tata.

W tym momencie mama ciągnie tatę za rękaw. *Rysiek... Zaczynasz?* Ale tata nie daje się odwieść od planu. *Co, kolegium wolisz?* - pyta zaczepnie wyszarpując rękę.

Wraca po kilku minutach zarumieniony od biegu. *Tu jest!* - woła. *I zagrycha też.* Pokazuje pęto kielbasy. Kieliszków tylko nie mam. *Szklanki są u mnie. W baraku*, - mówi nieznajomy.

Idziemy wszyscy w stronę baraku. Przeciskamy się między rzędami drzewek. Przechodząc potrącamy giętkie gałęzie, osypuje się z nich puszysty śnieg. Z bratem rzucamy śnieżkami w Reksa, który skacze i warczy. Mama zaciska usta. Nie jest zadowolona.

*No, wchdźta*, - zaprasza nieznajomy. Ja z bratem nie mamy ochoty siedzieć zamknięci w baraku i przyglądać się jak dorośli piją wódkę. *Możemy zostać na dworze? Tylko choinek mi nie tmac*, - ostrzega tata. *I nie zgubcie się*, - dorzuca mama. *Dobrze*, i już nas nie ma.

Nie wiem ile czasu się bawimy. Wystarczająco długo, żeby zrobiło nam się zimno. I głodno. Reks też jest zmęczony ciągłą gonitwą. Sapie. Wracamy do baraku. Wchodzimy bez pukania. Półmrok rozświetla gołą żarówka wisząca u sufitu. W kącie kopci koza. Cała trójka siedzi przy stole. Po bełkocie taty rozpoznajemy, że już dużo wypił. Mama jest naburmuszona. *Kiedy jedziemy do domu?* - pytamy. *Waszego ojca spytajcie*, - odburkuje mama. Ciągniemy tatę za rękaw, żeby wstał. Reks nam pomaga. Udaje nam się ściągnąć go z krzesła, ale przewraca się na podłogę. *Tato, wstawaj, jedziemy do domu*. Tata próbuje się podnieść, ale jest za bardzo pijany i nie może utrzymać równowagi. Dołącza do nas mama. *Wstawaj, świni*, - bierze tatę pod pachę z jednej strony, my z drugiej. Nieznajomy coś do nas mówi, ale słowa w jego ustach bulgoczą jak przepelniony strumyk. Nic nie rozumiemy. Wyciągamy tatę na dwór. Mroźne powietrze go otrzeźwia. Wyprostowuje się i rzuciwszy chwackie *idziemy* rusza przed siebie. Przypominam sobie o choince. Biegnę po nią. Jest za duża, bym dał radę ją unieść. Ciągnę ją po śniegu. Kiedy docieram do samochodu, tata już siedzi w środku. Mój brat mówi, że tata chciał koniecznie usiąść za kierownicą, ale udało im się z mamą wepchnąć go na fotel pasażera. Drzemie. Układamy choinkę na dachu samochodu, przywiązujemy ją sznurami, które przewlekamy przez kabinę auta jak przez ucho wielgachnej igły. Czubek choinki kładzie się na przedniej szybie, ale mama mówi, że nie szkodzi, że przecież nie musi oglądać nieba, tylko drogę. Początkowo maluch nie chce odpalić. Przypominam mamie o ssaniu. Mama zaciąga i samochód odpala.

Tata budzi się, kiedy parkujemy pod blokiem. Nie wygląda nawet na bardzo pijanego. Sam zanoszą choinkę do domu. Chce ją od razu postawić w pokoju, ale nie ma stojaka. Mama mówi, że musi być w garażu, razem z innymi rzeczami na Boże Narodzenie. Chcę pójść przynieść, ale tata mówi, że on przyniesie. Mama nakłada nam na talerze sałatkę i daje po kawałku chleba. *To wam musi wystarczyć. Jest post*. Włączamy telewizor. Leci jakiś film Disney'a o świętach. W Ameryce to dopiero mają choinki! W połowie filmu mama mnie woła, żebym zszedł do garażu zobaczyć, co robi tata. Nie chcę się odrywać od filmu, ale jak mama coś każe, to nie ma bata. Trzeba zrobić i koniec. Biegnę więc szybko, żeby stracić jak najmniej z filmu. Nie zakładam nawet kurtki. Garaż jest zamknięty. Sprawdzam garaż pana Bronka, bo tata często tam siedzi, ale tym razem nikogo tam nie ma. Wracam do domu. *Nie ma*, - rzucam mamie do kuchni i biegnę przed telewizor. *Jak to nie ma?*, - dochodzi mnie głos mamy. *U pana Bronka sprawdziłeś? Sprawdziłem, nie ma. Nigdzie nie ma. Ale nie martw się, nie zginie. Pewnie poszedł na melinę*, - mówię, żeby uspokoić mamę, bo ona zawsze się martwi, kiedy nie wie, gdzie jest tata.

Po filmie mój brat odkurza, ja muszę umyć podłogę. Nie możemy ustawić choinki, bo tata ma ze sobą klucze do garażu. Przez siatkę firanek do domu wczołguje się zmrok, a taty ciągle nie ma. Obejrzeliliśmy już drugi film. Zrobiło się całkiem ciemno. Mówię mamie, że muszę pójść z Reksem na spacer. Tak naprawdę to wymówka, chcę sprawdzić, czy może tata gdzieś się kręci w pobliżu. Mój brat idzie ze mną. Mróz szczypie nas w policzki. Ulice są puste. W blokach, w prawie wszystkich oknach palą się światła. *Myślisz, że dostaniemy prezenty?* - pyta mój brat. *Bez choinki?* Idziemy powoli, zamyśleni, śnieg skrzypi nam pod butami, z ust unoszą się obłoczki pary. *Mama nawet nie zastawiła stołu...* - mówię. Obchodzimy całe osiedle. *To na nic*, - daję hasło do odwrotu.

Drzwi wejściowe są uchylone. Patrzymy na siebie zdziwieni. Reks szarpie się na smyczy. Wchodzimy. Zaglądamy do kuchni. Mamy nie ma. Na podłodze leży rozrzucona sałatka, w niej rozbita salaterka i widelec. *Mamo?* - wołam, ale z mojego gardła zamiast krzyku wydobywa się stłumiony skrzek. Spuszczamy Reksa ze smyczy. Biegnie do dużego pokoju. My lękliwie za nim. Coś śmierdzi.

Na środku pokoju leżą stojak i choinka, zza niej wystają czyjeś buty. Rozpoznajemy natychmiast: to buty taty. On też tam jest. Śpi przykryty choinką. Ma całe spodnie mokre. Już wiemy, co tak śmierdzi. Reks podbiega do niego i liże go po twarzy, ale tata się nie budzi. Mama pewnie się schowała w łazience. Zawsze tak robi, kiedy tata wraca pijany. Zaglądam przez szparę wywietrznika. Mama siedzi na sedesie, głowa podparta na dłoniach. *Mamo...*, - mówię szeptem, żeby jej nie przestraszyć. *Mamo*, - powtarzam troszkę głośniej. *Co jest synuś?*, - pyta, ale nie odsłania twarzy. W jej głosie słychać łzy. *Moglibyśmy przeciągnąć tatę do przedpokoju...* - mówię, ale mama nie odpowiada. *Mamo... jak przesuniemy tatę do przedpokoju i ustawimy choinkę, to położysz prezenty?*